

sobota, 04.10.2025

ŚWIĘTY Z ASYŻU

Jan Bernardone, bo tak brzmiało prawdziwe imię i nazwisko św. Franciszka, urodził się na przełomie 1181 i 1182 roku we włoskiej Umbrii. Jego rodzice Piotr i Joanna posiadali sklep z suknem i należeli do zamożniejszych obywateli miasta. Mały Jan, nazywany przez ojca „Francuzikiem” (Francesco), ze względu na matkę pochodzącą z tego kraju, mógł więc uczęszczać do szkoły, aby kiedyś zastąpić ojca w interesach. Mimo wielkich zdolności chłopcu nie spieszo było jednak ani do nauki, ani do interesów. Swoją młodość spędzał beztrasko w otoczeniu kompanów, marząc o sławie rycerskiej.

Mając 20 lat wyruszył na wojnę z Perugią, gdzie dostał się do niewoli i ciężko zachorował. Po powrocie do zdrowia raz jeszcze spróbował żołnierskiej przygody, ale w jego duszy toczyła się już cicha walka. W końcu zdecydował i wziął rozbrat ze światem: zostawił przyjaciół, interesy ojca i marzenia o sławie. W samotności, ubóstwie i na modlitwie, pragnął zostać doskonałym naśladowcą Chrystusa i „odbudować Jego Kościół”. Szybko zgromadzili się wokół niego uczniowie, a papież zatwierdził ułożoną przez Franciszka regułę, która dała początek Zakonowi Braci Mniejszych, Sióstr Klarysek i Trzeciemu Zakonowi, przeznaczonemu dla ludzi świeckich.

14 września 1224 roku, największe pragnienie Franciszka, by upodobnić się całkowicie do swego Mistrza, spełniło się dosłownie: Chrystus w postaci serafina odcisnął na jego ciele swoje rany (pierwsze potwierdzone stygmaty). Od tamtej chwili Franciszek, nazywany „Serafikiem”, żył jeszcze dwa lata, w czasie których Bóg stopniowo go ogołacał. Wtedy jednak, gdy tracił wzrok, cierpiał na malarię, wrzody żołądka i reumatyzm, napisał swoją „Pieśń słoneczną”, najradośniejszą modlitwę jaką zna świat: „(...) Bądź pochwalony, Panie mój, ze wszystkimi Twymi stworzeniami, szczególnie z bratem słońce, przez które staje się dzień i nas oświecasz (...). Bądź pochwalony, Panie mój, przez brata księżyc i gwiazdy, które ukształtowałeś na niebie (...). Bądź pochwalony, Panie mój, przez brata wiatr i powietrze, chmury i pogodę, i każdy czas, przez który Twym stworzeniom dajesz utrzymanie. Bądź pochwalony, Panie mój, przez siostrę wodę (...) i brata ogień (...) i naszą matkę ziemię, która nas żywi i chowa (...). Chwalcie i błogosławcie Pana mego, dziękujcie Mu i służcie z pokorą...” (fragm.)

W świadomości przeciętnego chrześcijanina funkcjonuje na ogół uproszczony obraz św. Franciszka, kojarzonego z kwiatkami, ptaszkami i wilkiem podającym łapę. A przecież ten mistyk i stygmatyk był człowiekiem z krwi i kości, był kimś, kto w XIII wieku nie tylko wydobył Kościół z kryzysu, ale dokonał w nim największej „rewolucji”, trwającej po dzień dzisiejszy. Kto wyliczy tych wszystkich świętych, którzy pociągnięci jego przykładem weszli na drogę ewangelicznego radykalizmu: Antoni z Padwy, Bonawentura, Bernardyn ze Sieny, Piotr z Alkantary, ale także polscy święci: Jakub Strzebie, Jan z Dukli, Szymon z Lipnicy... Któż ogarnie tę rzeszę ludzi, która na przestrzeni wieków, doświadczyła za przyczyną Biedaczyny z Asyżu „dotknięcia” łaski.

Waldemar Łysiak pisze w książce „Wyspy zaczarowane”: „To był chyba Amerykanin, wysoki młody blondyn o zwalistym cielsku, w dżinsach i sandałach. Stał (u grobu św. Franciszka, przyp. A. N.) i patrzył z głupawym, drwiącym uśmieszkiem na ludzi klęczących wokół ołtarza pod niszą. I żuł gumę, ostentacyjnie, drażniąco, hałaśliwie. Czuł się wyższy (i był wyższy, bo stał), mniej głupi. Jak długo tak się czuł, nie wiem. Pamiętam tylko, że oczy zmieniały mu się powoli, jakby zdziwione, że jego demonstracja napotyka na obojętność modlącego się tłumu, a uśmieszek spełzał z nalanej twarzy i zastygł w dziwnym skurczu. Przestał mlaskać, a potem nagle wyjął gumę i schował wstydliwie do kieszeni. Ukląkł. Najpierw na jedno kolano, potem na drugie, pochylił głowę. Tę scenę zapamiętałem do końca życia, chociaż nigdy jej pewnie nie pojmę. Gdyby mi ją opowiedziano, być może nie uwierzyłbym. Ale je to

widziałem”.

Jest rzeczą niepojętą, że ten, którego „tak trudno naśladować”, który wydaje się tak odległy, tak niepodobny do współczesnego człowieka, wciąż zadziwia, oczarowuje, i to nie tylko chrześcijan, bo nawet niewierzący są pod urokiem tej postaci. „To chyba jedyny święty, który nie ma wrogów i jest powszechnie akceptowany” – słusznie ktoś zauważył. Czym tłumaczyć ten fenomen? Chyba tylko ukrytą w duszy każdego człowieka tęsknotą za „pokojem i dobrem”, „radością i prostotą”.

Gdy umierał na gołej ziemi w Porcjunkuli poprosił braci, aby mu zaśpiewali: ci rzewnie płacząc rozpoczęli „Pieśń słoneczną”, ułożoną przez niego w czasie choroby. Gdy skończyli, słabnącym głosem dodał do niej ostatnią strofę: „Bądź pochwalony, Panie mój, przez naszą siostrę, Śmierć cielesną...”.

Tak umierał ten, któremu tu na ziemi udało się pogodzić człowieka z wilkiem, radość z cierpieniem i życie ze śmiercią.

ŹRÓDŁO:

<https://www.vaticannews.va/pl/kosciol/news/2023-10/patron-dnia-sw-franciszek-z-asyzu-pierwszy-stygmatyk.html>